

Poniżej budynku obozowego kina, obok boisk sportowych, Warszawiak zauważył mocno zakurzonego i poobijanego bordowego forda 922A. Stał o niego oparty w dość nonszalanckim stylu mężczyzna palący papierosa. Wyglądał na typowego marynarza z licznie zawijających do Bombaju statków albo na robotnika portowego z holownika. Warszawiak nie miał wątpliwości, kim jest mężczyzna poprawiający co jakiś czas swoją białą, kapitańską czapkę z daszkiem. Obszedł naokoło wzniesienie i znalazł się za plecami marynarza. Podszedł bliżej. Ten jakby wyczuł obecność kogoś. Odwracając się, sięgnął pod marynarkę. Nie zdążył nic wyjąć. Zobaczył wycelowany w niego pistolet.

– Nie strzelaaaać! Ja maryyyynarz! – krzyknął kresową polszczyzną.

– Ty, marynarz! Chyba się już spotkaliśmy?! – wycedził Warszawiak. – Odwracaj się powoli... *mariak!* Ręce połów na głowie! Słyszysz?! Czy trzeba do ciebie po rosyjsku mówić?! – krzyknął jeszcze głośniej.

W tym momencie marynarz gwałtownie wyszarpnął zza paska spodni pistolet i odskoczył sprawnie za maskę samochodu. Warszawiaka trochę to zaskoczyło. Strzelił dwukrotnie, ale pociski dosięgnęły tylko ramienia przeciwnika. Warszawiak natychmiast padł na ziemię i poprawił kilkoma kolejnymi strzałami oddanymi między podwoziem a szutrową nawierzchnią. Tym razem kule sięgnęły celu. Marynarza trochę odrzuciło. Wypuścił z dłoni pistolet. Warszawiak poderwał się na nogi i skoczył w kilku susach w kierunku leżącego, uwalanego od krwi mężczyzny, nie spuszczając go ani na moment z muszki pistoletu.

Marynarz zaczął coś majaczyć. Warszawiak odkopnął jego broń, nachylił się i chciał go uderzyć kolbą w twarz. Ale zrezygnował. Widział, że to już chyba agonia.

– *Ty, Paliak, ty suczy synu* – wymamrotał marynarz.

Warszawiak ujął go za twarz i wycedził przez zęby:

– Ty, bolszewik! Ty kto? Jak się nazywasz? Mów!

– Ha, ha, ha... – zaśmiał się resztką sił marynarz i ogarnęły go jakieś drgawki. – Ja twój rodak, zabiłeś swojego, ja Kazimir Sokołow. Zapamiętaj, Kazimir Sokołow – szeptał, krztusząc się krwią coraz bardziej obficie wypływającą z ust.

– Jak cię zaraz za cherchel ścisnę! – krzyknął Warszawiak i złapał dłonią za gardło konającego. – Jak się nazywasz? Słyszysz?! Powtórz! Jak się nazywasz?!

– Konstanca, Jerozolima, Italia... Ja twój rodak – szepnął jeszcze ciszej, ale jakby wyraźniej.

– Czerwony psi chuj, nie rodak! – powiedział pod nosem do siebie Warszawiak. – Jak się nazywasz?!

Warszawiak poczuł, że głowa mężczyzny staje się ciężka i po chwili wysunęła mu się z dłoni. Szeroko otwarte oczy marynarza zastygły w martwym bezruchu. Czerwona plama pod jego ciałem robiła się coraz większa. Słodki zapach krwi unosił się z nagrzanego słońcem jałowej, pełnej drobnych kamyczków ziemi. Warszawiak wstał. Otarł odruchowo dłonią swoją twarz, zapominając, że była cała we krwi. Rozejrzał się po okolicy, ale nikogo nie zauważył. Sytuacją zainteresował się jedynie jakiś pies, któremu zebra wyraźnie wystawały spod jasnej skóry. Nie namyślając się długo, zawlókł zwłoki do samochodu i posadził je na tylnej kanapie. Dopiero wewnątrz przeszukał ubranie ofiary, ale niczego poza dodatkowym magazynkiem do pistoletu i kilkudziesięcioma amerykańskimi dolarami nie znalazł. Przejrzał dokładnie wszystkie schowki, zakamarki i bagażnik fordów, ale również bez sukcesu. Usiadł na przednim fotelu pasażera i ciężko oddychał. Jedną nogę trzymał na zewnątrz samochodu. Spojrzał we wsteczne lustro. Wyjął zza paska pistolet Sokołowa.

– Sowiecka tetetka – rzucił pod nosem i schował ją tym razem do kieszeni swojej spadochroniarskiej kurtki.

Dopiero teraz pomyślał o majorze Dąbrowskim. Zerwał się i wyskoczył z samochodu. Butami zaczął szybko zacierać ślady krwi. W tym momencie zobaczył biegnącego w jego stronę majora.

– Sierżancie, nic się wam nie stało?! – krzyczał, ściskając w dłoni colta.

– Mnie nie, ale marynarzowi się stało – odpowiedział.

Major podbiegł i z niepokojem popatrzył na zakrwawioną twarz sierżanta. Widząc to, Warszawiak od razu sprostował, że to nie jego krew. Wtedy Dąbrowski zauważył ciało na tylnym siedzeniu.

– Coś powiedział?

– Nie bardzo. Nawijał coś, ale jucha mu przez usta leciała i nic nie mogłem zrozumieć.

– Nic nie miał przy sobie?

– Nie. Nic nie skitrał. Przeszukałem go dokładnie.

– A w samochodzie?

– Też nic... A co z bratem Mauro?

– Uciekł. Mieli jeszcze jeden samochód z drugiej strony osiedla za garażami i

budynkiem szkoły numer jeden. Ale nie widziałem go. Jakiś miejscowy z poczty powiedział mi, bo przywiózł listy i telegramy do osiedla.

– Cholera – zdenerwował się Warszawiak. – Czego oni tu szukali, do jasnej anielki?!

– Albo raczej co zabrali, sierżancie? Nie wiem. Zasadzimy się na ten statek z Odessy za parę dni, to może się czegoś dowiemy – powiedział major, odszedł kilka kroków i utkwiał wzrok w pobliskich zabudowaniach.

Warszawiak zauważył w tym momencie postać kobiety biegnącej w jego stronę. Nie miał wątpliwości, że to Karolina. W panice zaczął szukać chusteczki w kieszeniach. Szybko się nią wycierał, plując co chwila na jedwabny materiał z inicjałami R.S.

– Robert! – krzyknęła Karolina na widok Warszawiaka z rozmazaną na twarzy krwią. – Panie Darku! Nic wam nie jest?

Warszawiak i Dąbrowski pokręcili głowami. Karolina rzuciła się na szyję mężowi.

– Słuchaj, przyszedł do ciebie telegram z Bombaju – powiedziała i wręczyła mu ściskany w dłoni podłużny kawałek papieru.

Sama utkwiała wzrok w tylnym siedzeniu samochodu. Stała jak wmurowana.

Warszawiak rozłożył papier z napisem „Indian Posts. Telegraphs Department” i jak mu się wydawało, pośrodku jeszcze z godłem brytyjskiego imperium. W prawym górnym rogu widniała okrągła pieczęć z datownikiem i nazwą miasta Kolhapur. Pod spodem, po prawej stronie znajdował się tekst po polsku:

Statek, na który czekamy, nie zawinie do portu w Bombaju. Informacja potwierdzona u ich spedytora. Miał awarię na Morzu Arabskim i dopłynął jedynie do Karaczi. Przewidywany czas remontu conajmniej jeden miesiąc. Jeśli się coś zmieni, będę informował do momentu całkowitej ewakuacji obozu w Valivade.
Barczyk

Warszawiak podał majorowi pomięty telegram.

– Czyli, sierżancie Sieniarski, na statek z Odessy się nie zasadzimy.

– Ano wychodzi na to, panie majorze, że nie. Kłapa – odpowiedział i zawiesił głos, a po chwili dodał: – Bolszewiki nie idioci, brat Mauro zamelinuje się gdzieś i zaraportuje do nich. Czerwoni szybko skojarzą zniknięcie tego tutaj.

Warszawiak skinął wymownie głową na tylne siedzenie.

– Zapadną się pod ziemię, a my wszystkich statków w Bombaju nie skontrolujemy, to oczywiste.

– Sierżancie, pozbądźcie się trupa i samochodu.

– A gdzie?

– No przecież nie na naszym cmentarzu. Rzeka Panhgangi koło tamy. Tam jest więcej wody. Albo jakieś jezioro. Spalcie, zakopcie! Co, ja mam was tego uczyć? Tylko tak, żeby tego nikt nie widział i nie znalazł, przynajmniej za szybko.